

Człowiek zredukowany

„Ostatni tramwaj” Ludmiły Razumowskiej to sztuka z gatunku tych, po której w swoim teatrze sięgnąć mogłaby Krystyna Janda i zrobić z niej przebój na kilka sezonów. Jest w niej życiowy dramat niedoszłej gwiazdy radzieckiej kinematografii (w Nowym obsadzony jest Sławomir Sulej, u Jandy byłby to Jerzy Stuhr, Krzysztof Gosztyła, Andrzej Grabowski) oraz ulicznej sprzedawczyni (w Łodzi gra ją Mirosława Olbińska, u Jandy grałaby pewnie Janda). Spotykają się po czterdziestu latach. Na tej samej ulicy. On siedzi z kartką, prosząc o wsparcie – ale zaraz zacznie ukrywać wobec niej swoją bezdomność zafundowaną przez córki, które samotnie, z poświęceniem wychowywał (żona odeszła, gdy przekonała się, że nie robi on kariery filmowej). Ona z ulicznego handelku badziewiem stara się utrzymać córkę alkoholicką i chromego wnuczka – jego matka dokonała kilkunastu aborcji, a on urodził się, gdy spóźniła się z kolejną. Życie tej dwójki zламаł, jak się zdaje, upadek ZSRR, a przynajmniej za jego czasu byli umiarkowanie szczęśliwi. Razumowska ustanowiła swoisty rekord – nakreśliła taki obraz ludzi, że rodzi się pytanie: czy można upaść jeszcze niżej, czy można żyć w większej beznadziei, czy można więcej wycierpieć, bardziej przegrać swoje życie – i żyć. Chyba nie można. A czy można bardziej zredukować człowieka, odciąć go od Dobra i Piękna, od Nadziei, by ich nie pragnął? A jednak Pasza i Wiera, choć egzystują na granicy człowieczeństwa, nie mogą odmówić losowi, gdy nadarza się im szansa na bliskość, na skończenie z samotnością. Brzmi to banalnie? Niewykluczone, że takim jest. Banał jest cechą ludzkiej egzystencji najpewniej nawet w większym stopniu niż wzniosłość czy wysublimowane myśli i odczucia. Dobry teatr ma tę właściwość, że spotykając nas z człowiekiem na scenie, z jego emocjami, potrafi osłabić działanie banału. Tak jak w tej realizacji „Ostatniego tramwaju” (jedenaście lat temu sztuka tak, pod tytułem "Plac św. Włodzimierza", miała w Nowym polską prapremierę).

Reżyser Katarzyna Deszcz bezlitośnie, choć z empatią wobec postaci nakreśliła ich portret na scenie. Niespiesznie odkrywa karty, bo Pasza i Wiera najpierw zakłamują wobec siebie (czyli także wobec widza) swoje życiorysy. Najlepiej udaje się Deszcz huczyć widza wiarą postaci w jakieś nieco lepsze jutro. A przecież im bardziej zaangażowani są w związek, tym bardziej powinien on wydawać się absurdalny, budzący litość i poniekąd śmieszny. To w końcu romans w krzywym zwierciadle – a jednak na scenie nabiera cech możliwego.

„Ostatni tramwaj” to też całkiem ciekawe role dwójki aktorów, którzy od wielu sezonów są trzonem zespołu Teatru Nowego. Oglądamy dobre, chwilami przejmujące aktorstwo psychologiczne, choć reżyser więcej możliwości stworzyła, zdaje się, jednak Sławomirowi Sulejowi. W ogóle tutaj nie „gra Sulejem”, jak niekiedy się zdarzało, a najlepszy jest w scenach, w których Pasza wije się przed Wierą i jak nastolatek próbuje oczarować ją lub zbagatelizować powagę i niezmienną realioów. Wiera Mirosławy Olbińskiej nieco została odpuśczone, ma przede wszystkim być lekko naiwna, ale gotowa do łatwego rzucenia się w szaleństwo uczucia. Lepiej, znacznie lepiej, jest, gdy uruchamia tony tragiczne – to dzięki niej w ostatniej scenie, gdy Wiera już uciekła z mieszkania córki, a jeszcze nie wie, że do podróży z Paszą nie dojdzie, widz czuje, jak opada ułuda, w której postaci Razumowskiej zaczęły żyć. Oboje dobrze też pracują ze słowem, czyniąc je obrazowym, gdy Pasza i Wiera stają się narratorami i snują własne, mniej lub bardziej prawdziwe życiorysy.

Reżyserka osadziła akcję zgodnie z duchem tekstu w realiach poradzieckich. Jednocześnie scenograf (Andrzej Sadowski) serią udanych, plastycznie intrygujących fotografii zaaplikował spektaklowi realia typowo łódzkie – oko Sadowskiego nie opatrzyło się tak jak nasze, dlatego tak dołująco "świeże" to fotografie. Fotografie są ciekawe, po obróbce ciepłe w kolorystyce, przedstawiają ruiny kamienic, wybebeszone podwórka – żadnego człowieka. Tak wygląda najbliższe sąsiedztwo Nowego. Nie ma nadziei. Sadowski dołączył też, jako intermezza, fragmenty radzieckiej

kreskówki „Wilk i zając”, której motywem przewodnim, wspólnym dla sztuki Razumowskiej, jest niespełnienie. Wilk nie można dopaść zająca, a nawet gdy zaczynają trzymać sztamię, zawsze wydarza się coś (w swej istocie absurdalnego, niedorzecznego, błahego), co niweczy happy end. Z tego skrzyżowania odniesień - polskich i radzieckich, współczesnych i przeszłych - mogłoby się zrodzić coś uniwersalistycznego, gdyby nie tak często dochodzące do głosu realia rzeczywistości sprzed dwóch dekad w tekście sztuki. Co mają one do dzisiejszej Łodzi? Co ma do niej Petersburg? Coś tu się nie klei - ale trudno o równie pesymistyczny spektakl.